Nr. 18. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 29 Kwietnia 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg.)

b) Filozofja siły.

Przechodzimy do filozofji siły. Nader to ciekawy przedmiot, a jednak nie opracował go autor z należytą starannością. O systematyczności wykładu mowy nie ma. Naruszona masa materjałów, dowodzących uczoności autora, ale nie można się dopatrzyć ładu myśli, ni jasno wytkniętego celu, który udowodnić szczegóły powinny.

Znajdujemy definicją siły, że jest wyjściem ciała ze stanu spoczynku do stanu ruchu (str. 101); a źródłem siły są składy i rozkłady ciał, a przedewszystkiém słońce. Lecz nie ma spoczynku i ruchu absolutnego: w naturze wszystko jest względne i warunkowe. Góra n. p. zdaje się spoczywać a jednak wraz z ziemią obraca się szybkim pędem około słońca, a i słońce nie stoi, bo wraz z całym systematem słonecznym toczy się koło innego środka. Przeprowadzić ciało ze stanu spoczynku do stanu ruchu, znaczy odpychać i przyciągać. Wnosi ztąd autor, acz tego nie udowadnia, że główną i pierwotną siłą jest przyciąganie w odpychaniu; i że wszelkie inne siły uważane za odrębne, jak siły fizyczne, organiczne i siły intelligencji są tylko względnym i warunkowym stanem jednéj i téjsaméj siły, w różnych tylko fazach jej bytu, przez różne stany świata fizycznego, różnie tylko przyświecającéj (str. 78).

Światło, ciepło i elektryczność, jako trzy główne czynniki sił, uważał już jezuita Secchi, dyrektor obserwatorjum w Rzymie, za jednę siłę, mającą ten sam zasadniczy fenomen ruchu. Autor słusznie zauważa, że ruch nie jest przyczyną, ale skutkiem, czyli objawem siły; zaś że przyczyną ruchu jest przyciąganie w odpychaniu. Uważa daléj, że ciepło nie wywołuje światła, lecz sprawia oddalenie cząstek ciało składających, co pod pewnemi warunkami może się okazać jako światło. Ale i światło składa i rozkłada związki ciał, n. p. tworzy kwas solny z dwóch równych objętości wodorodu i chloru. A na poparcie tego zdania niech mi wolno będzie dodać świeże ważne spostrzeżenie Johna Tyndalla, wyjaśniające tak trafnym sposobem niedocieczone dotąd zjawiska mioteł kometarnych, a oparte na tém prostem doświadczeniu, że wpływ światła na pary zamknięte w długich rurkach szklannych, rozkłada je na ich części składowe, z czego wytwarza się obłoczek nadzwyczajnéj rzadkości, tak, że wiele milionów razy wzięty, niedochodzi jeszcze do gęstości naszego powietrza, a posiadający w wysokim stopniu władzę odrzucania światła. Wpływ światła i ciepła na rośliny, zwierzęta a nawet na intelligencją ludzi, te same objawia skutki. Jest to zatém jedna i ta sama siła w różnych już tylko objawach ciepła i światła. Jako objawy nie są ciałami, jak ciałem nie jest żadna szczegółowa własność ciała i ztąd nazwano je nieważkami (imponderabilia). Siła

nie ma temperatury, ani téż nie świeci; nie jest iskrą elektryczną; ona jest tylko przyciąganiem w odpychaniu.

Uwagi te, acz sporadycznie rozrzucone, bez pewnego ładu i systemu, są przecież wielkiéj wagi i dowodzą trafnego poglądu autora na rzeczy i docierania wszędzie do pierwiastku wszechstworzenia. Jego zasada filozofji natury, przyciąganie w odpychaniu, acz podaje przyczyny wszelkiego ruchu w naturze, jest wszakże tylko bliższem oznaczeniem siły w jéj działalności; wskazuje na attrakcją i repulsją w ich działaniu w najrozmaitszym do siebie stosunku; ale właśnie dla tego, że to jest stosunek dwóch sił, lub działań dwóch własności jednéj i téj saméj siły, nie może być oznaczeniem siły saméj, czyli owego primum movens, który tylko być może Bóg stworzyciel, czyli jak go kościół trafnie nazywa creator spiritus. To działanie tego ducha stworzyciela, może filozof pojmować w najogólniejszém znaczeniu, jako działanie attrakcji i repulsji, czyli jako przyciąganie w odpychaniu lub odpychanie w przyciąganiu, ale nigdy pozbyć się nie będziemy mogli siły twórczéj co świat cały wywołała i wywołuje do bytu. Sam autor wypowiedział to samo najwyraźniéj, streszczając dzieło swoje (str. 419). Wszakże we filozofji siły, było właśnie miejsce do wypowiedzenia tego zdania. Jego przemilczeniem, sile pierwotnéj nadany został panteistyczny zakrój powszechnego w całéj naturze działania.

Definicja siły, że jest wyjściem ciała ze spoczynku do ruchu, ma tylko sens ze względu na ciało same, w którém się siła objawia, ale nie ze względu na siłę samą, która nigdy nie jest w spoczynku, ale jest wiecznie żyjącą i wiecznie działającą. Sam autor to przyznaje, gdy koterją ciał uważa jako objaw nieustająco działającéj siły, dzierżącéj jego cząstki, bez czego ciało rozpaśćby się musiało na atomy.

Zdaniem naszém p. Levittoux nie potrzebowałby się był odwoływać do zdania Secchiego, ani do wyobrażeń innych fizyków, jakie mieli o sile, aby uzasadnić swój wniosek, że najrozmaitsze jakie są siły, są tylko różnemi objawami jednéj i téjsaméj siły, to jest przyciągania w odpychaniu. Najsilniejszą podstawę ku temu dałaby mu była Mechanika ciepła I. R. Mayera (Stuttgard 1867), który odkrył zasadę ekwiwalentu ciepła. Wedle téj teorji, stało się rzeczą dowiedzioną, że siła jak materja nie ginie, ale trwa na wieki, przemieniając się tylko z jednéj formy w drugą. Jeżeli ciało spada w przestrzeni i powstrzymywanem zostaje oporem powietrza, nie traci na sile ruchu, ale ją zmienia na ekwiwalent ciepła, które spotęgowane zamienia się znowu na odpowiedni stopień światła, tak że siłą światła, wedle doświadczeń Thomsena, mierzyć można każdą siłę mechaniczną. Siła w każdéj formie, jest tylko oscyllacją cząstek chemicznych w skład ciała wchodzących.

c) Siły życia i intelligencji.

Jedną z wielkich zalet autora jest upatrywanie jednostajności w różności. On widzi w kapilarności ciał martwych endosmozę, czyli krążenie soków w roślinach, a krwi w zwierzętach; w krystallizacji i w lodowatych rysunkach po szybach okien naszych, widzi pierwsze martwe zarysy form organicznych; — że kwiat i liście do słońca, korzonki rośliny w ziemi w stronę gdzie wilgoć się kierują, upatruje popęd przenoszenia się z miejsca na miejsce, czém zwierzęta są obdarzone; — on w powinowactwie wyboru (Wahlverwandtschaft) postrzega wolę i rozsądek człowieka a w burzeniu się i gwałtownéj intonacji pierwiastków dogląda obraz ludzkich namiętności w towarzyskiém ludzi ze sobą pożyciu. Dla tego téż nic dlań nie było łatwiejszego, nad pociągnienie sił życia i intelligencji pod tę samą zasadę pierwotnéj siły: przyciągania w odpychaniu.

Autor sam przyznaje, że analizę sił organicznych i władz intelligencji wziął całą z Flourensa, z jego dzieła „De la vie et de l'intelligence.“ Z doświadczeń tego znakomitego fizyka nad systematem nerwowym i nad formowaniem się kości, pokazuje się niezaprzeczenie, że osobne są siły i osobne organa, któremi utrzymuje się życie i jego forma, a inne, któremi odbywa się moralny porządek rzeczy.

Mażanna (rubia tinctorum), użyta za pokarm, ma własność farbowania kości na czerwono. Kość przepiłowana pokaże pierścienie już czerwone już białe, wedle tego, jeżeli zwierzę w jednym miesiącu używało mażanny za pokarm, w drugim jéj nie używało. A jeżeli ustaję dodawać mażanny, kość z czasem zamieni się znowu na białą. Za pomocą tego środka dowieść można, że kość rośnie od środka na zewnątrz; że jest nieustająca wymiana materji; że kość która rośnie, nie jest jedną kością, ale szeregiem kości, które po sobie następują. Podobnie się ma z każdą inną materją, wciąż się przemienia, niejako rodzi się w każdéj chwili i umiera. I ta to ciągła przemiana jest życiem, a sprawia to życie siła, która żyje wśród materji i nią rządzi.

Wedle Flourensa są inne siły, które utrzymują formę ciał i istot żyjących. Spallanzani odciął przednią łapkę salamandrze i ta cała odrosła, acz krom nerwów, żył, arterji muszkułów, tkanek i skóry, samych kostek różnoukształconych było w téj łapce 23. U człowieka nie odrośnie odjęta noga lub ręka, ale on czuje ból w członku odciętym. Jest to jakby krzyk siły, usiłującéj odrodzić się na powierzchni odciętéj. Wszakże kość nawet odrośnie, jeżeli przy operacji błony kostnéj nie zniszczymy, ale ją zostawimy. Zaszła ztąd reforma konserwacyjna w chirurgii. Prof. Blandin zamiast odjąć choremu spróchniały obojczyk z błoną przykostną, odjął kość, a błonę nietkniętą zostawił i w 15tu miesiącach odrósł obojczyk w pierwotnéj swéj formie. Wiadomo od dawna, że odcięte gałązki odrastają w drzewa, że robaki posiadające wiele gorglionów nerwowych, pocięte, odrastają w nowe robaki.

Z doświadczeń tych, znakomitego fizjologa francuzkiego widoczną się stała tak siła życia, jak siła formy; ale niewiadomém nam zostało, jakiemi drogami i jakiemi narzędziami się i życie rozwija i forma jego ukształca. Jeżeli Cuvier powiedział: że materja odebrała w depozyt siłę, „la matière est dépositaire de la force“, nic przez to nie wyjaśnił, i p. Levittoux uczuł się spowodowanym dodać, że cząstki materji odebrały w depozyt tylko siłę morfo-plastyczną, to jest, organicznego przyciągania i odpychania, nie zaś siłę czuwającą nad utrzymaniem formy i bytu organu.“

Owe formy ciał, których się z taką uporczywością trzymają wszystkie typy ciał stworzonych, owe granice kształtów ściśle zakreślone, owa mądrość niesłychana w wyrabianiu każdéj cząsteczki ciała lub organu do pewnéj celowości, — ów nisus formativus, który dawni uczeni zaprowadzali do umiejętności — trudno to wszystko odnosić do saméj działającéj siły. Trzeba koniecznie nadać temu działaniu i pewne rządy, a więc rozum, trzeba przyjąć obok siły, która tylko jest czynnikiem działania, oraz czynnik rozumu wszechmocnego, rządzący światem i utrzymujący świat. A że nie ma treści bez formy, ani formy bez treści, i jedno z drugiém najściśléj jest połączone, wnoszę ztąd, że siła życia i siła jego formy, jest jedną i tą samą siłą, władającą przyciąganiem w odpychaniu, wedle rozumnéj myśli samego Stwórcy, która tchnie w każdém jestestwie i jest jego rozwojem i kształtem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Chory na charakter rozpoczyna kampanję.

Przechadzka doskonale podziałała na usposobienie naszego bohatera. Wrócił mu spokój; twarz, na którój przed wyjściem na miasto grały naprzemian rozmaite uczucia, przybrała na powrót swój zwykły wyraz, wyraz jakiejś chmurnéj obojętności; w oku tylko niekiedy więcéj złośliwości błyskało, wówczas uśmiechał się do swéj myśli, a każdy taki uśmiech, wybiegając na pokryte charakterystycznemi piegami oblicze, stanowił dziwną sprzeczność z posępnem i namarszczonem czołem. Kto go widział tak uśmiechającego się, nie mógłby powiedzieć czy ten człowiek śmieje się czy się dąsa, ale w każdym razie musiałby zostać uderzonym oryginalnym jego fizjognomji wyrazem.

Gdy zapanował nad wzruszeniem, to jest dopiął w połowie tego co zamierzył, usunął z myśli natrętne wspomnienie Jadwigi, przypomniała mu się naturalnie druga część ułożonego planu — zrobienie sobie zabawki z Babiéj wyspy.

— Potrzebuję ich poznać, — myślał, — a jak poznam, to już się postaram o to, żebym wszystkim dobrze zaszedł za skórę. A!... — mówił półgłosem, tonem wyrzutu, — zachciało wam się robić sobie igraszkę z człowieka, którego losy pomiędzy was zapędziły, oplatać go siecią niedorzeczności, wikłać w całą serję śmieszności, opasywać łańcuchem dziwactw i bredni wysnuwających się jedna z drugiéj... i za co?... za to tylko, że chciał pomiędzy wami cichego kątka, w którymby pędził daléj swoje smutne życie... Dobrze!... bawcie się, ale zobaczycie, że ten któregoście sobie za przedmiot zabawki obrali, potrafi także płatać sztuczki podobne, potrafi za zmowę wszystkich na jednego odpłacić wszystkim sam jeden.

Uśmiechnął się owym uśmiechem mięszanym z wesołości i dąsu.

Nietylko ludziom miał się odpłacać za psoty i złośliwości, jakie mu wyrządzali, los także okazywał się względem niego nielada psotnikiem i złośliwcem. I przeciw losowi zatem przedsiębrał kampanję, i jemu wypowiadał wojnę, i jemu w myślach swoich złorzeczył.

— Albo i ten jegomość, którego nazywają jaśnie wielmożnym Przypadkiem, — mówił do siebie, — także mi się przysłużył jak lepiéj nie można! Uciekałem w świat przed przeszłością, on mnie tropił przebiegle, niby najwytrawniejszy ajent policyjny; — dogonił, i sprowadził mi na kark imć panią Przeszłość, a teraz w duchu drwi ze mnie. Zobaczymy czy sobie nie poradzę!... Nic mnie to nie obchodzi i basta, panu Przypadkowi pokażę, że mało sobie robię z jego żarcików.

Samo to fanfaronowanie przed sobą najlepiéj dowodziło, że obecność Jadwigi w tym samym domu bardziéj go niepokoiła niż chciał wmówić w siebie. Odpędzał myśl o niéj, powracała uparcie, nie mogąc więc pozbyć się natrętnicy, stawiał się jéj ostro, nadrabiał miną, udawał zucha, i tak dalece pragnął się z nią oswoić, nic dla niéj nie odmieniać w swych planach i projektach, że mu się to nawet udawało, do pewnego przynajmniéj stopnia.

Przez parę dni jeszcze pani Tucka codziennie napróżno oczekiwała jego odwiedzin, przez parę dni w rozmaitych porach przed albo popołudniowych codzień nachodził go doktór, który w ten sposób piekł dwie pieczenie na jednym różnie, bo z jednéj strony czynił zadość małżonce, która mu zalecała, aby bezustannem nasuwaniem się przypominał sąsiadowi obowiązek rewizyty, z drugiéj zadawalniał swą własną żyłkę, gdyż przy każdych odwiedzinach posuwał o krok daléj studja nad chorobą Pilskiego i nowe mu zalecał środki zaradcze, które oryginalny pacjent przyjmował z niedowierzaniem, ale stosował się do rad Eskulapa i lekarstw jego używał, co mu przecież nie przeszkadzało robić studjów nad sąsiadami i przygotowywać się do rozpoczęcia z nimi wojny.

Przygotowania byłyby potrwały bardzo długo, gdyby nasz bohater ograniczył się tylko na tem co mógł spostrzedz ze swego okna lub co mu się przypadkiem o uszy obiło. Potrzeba było żeby mu ktoś dopomógł do upatrzenia śmiesznych albo słabych stron w sąsiadach. Pilski odrazu zrozumiał tę potrzebę, i niedługo potrzebował się namyślać, kogoby zrobić swoim sprzymierzeńcem.

Rozwinięte nad wiek dziecko — Kazia, było jakby stworzone do téj roli. Kazia wiedziała wszystko, a o tem co wiedziała pasjami wszystkim rozgadywać lubiła, dosyć więc było pociągnąć ją zręcznie za nieprzywykły do spoczynku języczek, a można było liczyć napewne, że wyśpiewa tyle, a nawet więcéj jak Pilskiemu do wzniecenia wojny domowéj na Babiéj wyspie i do dokuczenia wszystkim sąsiadom, a przedewszystkiem sąsiadkom, było potrzeba.

Tak sobie rozumował chory na charakter egzemplarz, i rozumowanie takie nie zawiodło go bynajmniéj. Kilku wizyt Kazi dość mu było, ażeby dowiedzieć się o wszystkiem co się działo na każdym punkcie Babiéj wyspy, o każdéj porze doby. Z naiwnością sobie tylko właściwą Kazia objaśniła go, że panna Iza farbuje sobie włosy, i oczekuje codzień jego nowych odwiedzin; że pani Tucka bardzo lubi gdy kto do niéj wzdycha, a bardzo nie lubi, gdy kto w jéj obecności jaką inną kobietę chwali, lub przychodzi do jéj domu z nieprzewidzianą wizytą; że pani Gącińska nigdy z nikogo i z niczego nie jest zadowolona; że ciocia Petronela wolałaby, żeby jéj kto nie wiedzieć jaką przykrość wyrządził, niż gdyby co opowiadać zaczął a nie dokończył; że pan Baltazar dopiero od czasu wprowadzenia się nowéj lokatorki więcéj przesiaduje w domu, bo przedtem tyle go tylko widywano, że na noc przyszedł; że pana Porwicza w domu nie lubią, bo się boją, żeby sąsiadów swoich w jakiem piśmie nie opisał, że pani Porwiczowa jest osobą bardzo grzeczną dla wszystkich, co dowodzi, że chciałaby być od wszystkich zdaleka i musi być bardzo dumna.

Takich i tym podobnych szczegółów Kazia wypaplała całą litanję, a Pilski badał, wypytywał się, indagował, cokolwiek posłyszał starannie notował sobie w pamięci, uśmiechał się złośliwie, na dowód zaś wdzięczności za udzielone sobie wiadomostki głaskał Kazię po włosach i twarzyczce, a nawet cukierkami częstował.

Plan wojny z Babią wyspą zajmował go tak dalece, że aż dziwić się trzeba było, że człowiek dość poważnie, jak się zdawało, na życie patrzący, mógł się tak zapalić do pustoty, która każdemu dojrzałemu człowiekowi powinna była chyba szkólne czasy przypomnieć.

Zaopatrzony w tego rodzaju wiadomości, a więc przygotowany do boju nieskończenie lepiéj niż Napo-

leon III, gdy rozpoczynał wojnę z Prusakami, powiedział sobie dopiero pewnego dnia:

— No!... teraz zaczynam.

Z tém postanowieniem chciał wyjść z swego mieszkania, gdy zaszedł go doktór Tucki.

— A! witam kochanego konsyljarza, — zawołał Pilski, — lekarstwo przepisane zażyłem... zażyłem...

— To dobrze, panie pacjencie — odpowiedział Tucki poważnie, — i jakiż skutek?...

— Żadnego — ot po prostu jakbym się wody napił... nie ciepłéj bo mnie nie znudziła, ale i nie zimnéj także, bo mnie nie orzeźwiła bardzo.

— To dobrze, — powtórzył Eskulap, — to dobrze... A w jakimże humorze pan się czujesz?...

— W dziwnym doprawdy... czuję, że sprawiłoby mi to wielką przyjemność, gdybym tak mógł komu dokuczyć, zrobić coś na złość... komukolwiek... jednemu... wszystkim... bodaj panu, panie doktorze.

— To dobrze, — rzekł raz jeszcze Eskulap, — to dobrze... Radzę panu weź teraz jeszcze jeden proszek... widzę że natrafiłem na właściwy środek... weź pan koniecznie przed wyjściem na miasto, bo widzę że pan chcesz wyjść...

— Tak jest... miałem zamiar wyjść... ale..

— Nie ceremonjuj się pan... nie myślę przeszkadzać... inni pacjenci mnie czekają, — odrzekł doktór, któremu na wzmiankę o wyjściu przypomniała się instrukcja żony, — ale kiedy o wyjściu mowa, powiedzże mi pan czy myślisz kiedy wyjść ze swego mieszkania, aby nawiedzić skromne moje progi?...

— Uważam to za obowiązek, panie konsyljarzu, ale dziś jeszcze zapewne służyć nie będę mógł, — odpowiedział Pilski z ukłonem, który mu posłużył do zamaskowania dosyć złośliwego uśmiechu. — Tak jest, — powtórzył, — dziś jeszcze zapewne służyć nie będę mógł... jutro chyba ..

— A więc jutro... zresztą w każdéj porze miłym pan będziesz gościem...

To powiedziawszy doktór zabrał się do wyjścia, a na wychodnem raz jeszcze zalecił Pilskiemu, żeby zażył proszek przepisany.

— Jakiż to skutek sprawi na mnie? — zapytał Pilski.

— Tego panu powiedzieć nie mogę, — wymówił się Eskulap, — kuracja, jakiéj się pan poddałeś, wymaga ślepego zaufania ze strony pacjenta... Za to tylko panu zaręczam, że skutek będzie dobry...

Bohater nasz nie nalegał i milczącym ukłonem pożegnał doktora.

Zostawszy sam pod wpływem owego usposobienia, które tak trafnie przed doktorem określił, czując niezwyciężoną ochotę dokuczania i robienia na złość, wpadł na myśl, że może od Tuckiego zacząć wypadało.

— Mam wojować z wszystkiemi, — rzekł do siebie, — z jakiéj racji jego wyłączam, dla czego się poddaję pod jakieś oryginalne, niby-lekarskie eksperymenta, które mu się robić na mnie podoba?... Jestem zdrów, on mi przepisuje jakieś proszki, mikstury, pigułki... i ja to najdobroduszniéj w świecie zażywam. Doprawdy, gdyby tak kto rozsądny patrzył na nas obu, toby pomyślał, żeśmy obydwaj warjaci. Nie! tak być niepowinno... dosyć tych leków. Co mi przepisze będę wylewał albo palił; ani źdźbła, ani kropli do ust nie wezmę, a będę go łudził, żem zażył. On naturalnie sądzić będzie że lekarstwo poskutkowało, będzie upatrywał we mnie coraz nowe symptomy, będzie mi gadał, że mi jego sztuka zdrowie powróci, mój charakter przerobi, moją moralną istotę wyreperuje, wyłata i uzupełni. Toż się będę z niego śmiał w duchu!... A potém, kiedyś, jak mi przyjdzie ochota, powiem mu co robiłem z jego lekarstwami i roześmieję się głośno z szanownego medyka!... Dowiodę mu jak dwa a dwa cztery, że mu się uroiło żem był chory, że mu się przywidziało, że mnie kurował i że mu się marzy, iż mi zdrowie przywrócił. To pyszną minę zrobi, jak się o tém przekona!...

Na samą myśl takiego figla Pilski zaczął się śmiać serdecznie. Zdawało mu się, że już widzi przed sobą Tuckiego, z nosem dłuższym o pół stopy, spuszczonym pokornie na kwintę, jąkającego:

— No... to prawda, panie... ale... to jest... ja sądziłem...

Po chwili takiego śmiechu, wziął proszek, który mu doktór zażyć kazał, rozwinął papier, i poniósł do pieca, ażeby go tam wysypać.

Przed piecem stanął.

— Ba!... to się tak nie uda, — pomyślał, — medyk się pozna, i nie ja z niego będę się śmiał, lecz on ze mnie. Te lekki, które mi przepisuje, muszą przecież sprowadzać pewne skutki. Ja nie znam się na lekarstwach, więc tych skutków zgadnąć nie mogę. Opowiadałbym mu symptomata niemożebne i prędkoby zrozumiał że go łudzę, że nie zażywałem lekarstwa... Źle!... trzeba co innego wymyślić.

Podumał jeszcze, jakby nad jakiém ważném i wpływ na jego przyszłość wywrzeć mającém zagadnieniem, i z dumania tego wypadło, że jedynym sposobem spłatania złośliwego figla doktorowi było brać dozy większe niż przepisał.

Gdy mu ta myśl przyszła do głowy, aż zatarł ręce.

— Wyśmienicie! — zawołał w myśli, — przepisuje mi proszek, zażywam dwa albo trzy... skutki okazują się zbyt gwałtowne... zmniejsza dozę... myśli sobie, że moje indywidualne usposobienie jest słabsze jak mu się zdawało... ja znów biorę lekarstwa więcéj i znowu skutek przesadzony, znowu kochany elew Hipokrata zmniejszać musi ilość przepisaną. Idąc tą drogą z allopaty przerobię go na homeopatę, i gdy mi wreszcie zacznie przepisywać dziesiąte albo dwudzieste rozcieńczenia, powiem mu z tryumfem, że został wyprowadzonym w pole... Doskonale!

Tak zmieniwszy postanowienie bohater nasz połknął proszek już przeznaczony na wyrzucenie do pieca, a po nim bezzwłocznie drugi i trzeci.

Nie ma nic przyjemnego w zażywaniu lekarstwa, choćby się je zażywało dla zrobienia komuś na złość; nic więc dziwnego, że zażywszy, Pilski skrzywił się mocno, a nawet zaniepokoił się nieco.

— Gotowo mi to zaszkodzić, — rzekł do siebie,— dziecińtwa robię i basta.

Zaniepokojony zapomniał, że miał wyjść, usiadł na kanapce i zaczął dumać.

Zamiast niepokojących skutków z początku zaczął doznawać uczucia jakiegoś błogiego spokoju. Potem zdrzemnął się na chwilę. Drzémka ta nie była już tak przyjemną. Przez cały ciąg jéj trwania marzyły mu się jakieś przykre widziadła, obudził się z lekkim bólem głowy, z popsutym zupełnie humorem i z chęcią dokuczania, spotęgowaną tak bardzo jak tego nie uczuwał nigdy.

Gdyby był mógł zastanawiać się nad sobą choć tak spokojnie, jak to czynił przed zażyciem owych trzech proszków, byłby może w tem niezwykłem wzburzeniu i rozdrażnieniu, jakiego doznawał, uznał wpływ wyraźny zażytego medykamentu na cały system nerwowy, teraz jednak nie był zupełnie zdolny o tem myśléć.

— Po mężu koléj na żonę, — powiedział sobie,— zapowiedziałem doktorowi, że dzisiaj u nich nie będę... otóż pójdę dzisiaj na złość... zastanę panią nie wyfjokowaną, a może nawet nieuczesaną... w papilotach.— Wiem od Kazi jak ją to gniewa — tem lepiéj!...

Pilski nie wiedział zupełnie, że doktór Tucki wyszedłszy od niego, uchylił drzwi swego mieszkania i rzekł do żony:

— Sąsiada nie czekaj dzisiej... obiecał się dopiéro na jutro. —

Pani Tucka, która już zamierzała siadać do tualety, uspokojona, że dziś nie będzie miała odwiedzin, dała pokój strojom, pozostała w ubraniu bardzo powszedniem i zaczęła się krzątać koło gospodarstwa, dreptać z sypialni do kuchni, z kuchni do dziecinnego pokoju, z tamtąd do bawialni, z bawialni do piwnicy, nie szczędząc połajanek to służącéj, to dzieciom gdy jéj się które nawinęło na oczy, — jednem słowem urządziła się tak, jak się zwykła była urządzać gdy żadna obca stopa nie miała przekroczyć progów jéj domu.

Pilski, powtarzamy, nie wiedział o tem zupełnie,— gdyby był jednak wiedział byłoby go to prędzéj zachęciło do złożenia wizyty, aniżeli odwiodło od tego zamiaru. (Ciąg dalszy nastąpi).

Z wieczornych pieśni
Witosława Halka.

(34.)

Te gwiazdki z barwy złotemi,
Co sfer, — są całą ozdobą:
Tak słodko patrzą ku ziemi,
Jakby wabiły mię sobą.

O nie! wy gwiazdki nie wiecie; —
Bo w niebios krążyć wam kole:
Jak mi tu dobrze na świecie,
Jak miło, na tym padole!

Nie wiecie, — ja się założę,
Jeden przeciwko dziesięciu:
Jak cudne niebo ja stworzę
Dla siebie, w lubéj objęciu!

Wł. Bełza.

Z Moich Wspomnień.
O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Ludwik Niemojowski jest autorem kilku komedji, napisanych wierszem; pięknéj pracy poetycznéj: Obrazy z pisma świętego, wydanych u J. K. Żupańskiego w Poznaniu, r. 1856 i t. d. — Jako obywatel królestwa, dziedzic dóbr Radoszewice w gubernji Kaliskiéj, powiecie Wieluńskim, wywieziony został roku 1863 wraz z wielu innymi na Sybir, gdzie dotąd zostaje: w Minusińsku, w gubernji Jenisejskiéj. — Byłby już — jak słyszymy z ust wiarogodnych — wraz z drugimi powrócił zapewne, gdyby tam, zkąd jemu ulga i pociecha płynąć powinny — nie stawała właśnie przeszkoda — niestety! — niestety! która pod tym względem wszelkie paraliżuje staranie. — Pan Ludwik Niemojowski ma i dzieci kilkoro, dla których powrót ojca stałby się zbawieniem! —

Nasuwa się przy téj sposobności pamięci mojéj anegdotka prawdziwa, którą mi kiedyś opowiadano w Lubelskiém — i przytoczę ją tutaj. — Po r. 1831 był w Siedlcach gubernatorem wojennym jenerał Korf, człowiek prawy i honorowy. Dnia jednego przyjechała do niego jéjmość jakaś — dziedziczka wioski — i zadenuncjowała własnego męża: że należał do rewolucji, ma dotąd stosunki z wychodźcami, jest nieprzychylnym rządowi i t. p. Jenerał słuchał i milczał. Jejmość coraz więcéj prawiła. — Zapewne go pan jenerał zaraz aresztować każesz? zagadała wreszcie. — Jedź pani do domu — odrzekł jéj. — Ale pan jenerał każesz go aresztować i wywieść z kraju? — Nie pani. — Ale kiedyż na nim takie ciężą winy! — Wracaj pani do domu. Męża aresztować nie każę, bo on jest aż nadto ukaranym za wszelkie swoje przestępstwa, mając taką żonę, jak pani. — Jejmość poczerwieniała — posiniała — i jak furja wyleciała z pokoju. — A cóż stało się daléj? — Wszyscy wytykali ją palcami! — W kościele chłopki usuwały się od niéj. —

Ale wracajmyż do pani Anny Nakwaskiéj.

Ś. p. wojewodzinę zajmowało wszystko, cokolwiek jawiło się w piśmiennictwie polskiém — cokolwiek w polskim wydarzyło się kraju. — Gdy J. I. Kraszewski przybył do Warszawy r. 1847go, społeczność cała rwała się po prostu — wybaczcie mi to wyrażenie! — ażeby go widzieć, słyszeć, poznać, powitać. Mąż mój, najgorliwszy jego przyjaciel, wielbiciel, zostający z nim już od lat kilku w korespondencji, szczególniéj tym przyjazdem był uradowany — bo wszystko brał zawsze nader żywo i gorąco: sercem całém. Biegał ciągle do Hotelu angielskiego, gdzie nasz znakomity autor zamieszkał, i nim jednym był zajęty. A widząc ten natłok cisnących się w koło jego osoby, zapraszających go, niemal wyrywających go sobie, — z rozbudzoną i podnieconą fantazją, napisał do Biblioteki Warszawskiéj humorystyczne opowiadanie: Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie, — w którém wiele, bardzo wiele było prawdy. — Wieść o téj nowéj ramotce gruchnęła hyżo w kole literackim i rozbiegła się daléj. Wojewodzina posłyszała o niéj także, a szczera wielbicielka twórczego pisarza i, jak powiedziałam wyżéj, wszystkiém żywo zainteresowana, przysłała z prośbą o ten artykuł, zanim zeszyt Biblioteki wyszedł. August uczynny i skory, gdy chodziło o dogodzenie czyjemu życzeniu — zwłaszcza téż życzeniu tak szanownéj matrony, — zaniósł jéj ramotkę w korekcie i przeczytał, co ją szczególniéj zadowoliło, bo aż w dłonie klaskała.

Polka całą duszą — jak to już powiedziałam — zgrozą przejęta została każdym czynem anti-patrjotycznym — i przebolała każdą niedolę kraju. A dowcipna i prawdomowna, nawet i ostra niekiedy, nie przebaczała nikomu.

Gdy Henryk Rzewuski zamieszkał w Warszawie, częstym u niéj bywał gościem. I przez żart zapewne, namawiał ją ciągle, ażeby, jako jedna z najuczeńszych Polek, nauczyła się także rosyjskiego języka. Z początku odpierała to żartem — a potém i nieco gnie-

wem. Aż wreszcie odpowiedziała mu dnia jednego, że uczyć się zacznie, a w przyszłą niedzielę już po rosyjsku do niego przemówi. — Przybył na ten wieczór niedzielny, jak zwykle. Przystąpił do wojewodziny i powitał ją. Poznała głos jego — bo wzrok miała już słaby bardzo.

— Czy pani wojewodzina dotrzymałaś słowa? zapytał, przypominając jéj język rosyjski.

— A jakże! — odrzekła. — Paszoł durak!

— Wyborny początek! odrzekł Rzewuski i pocałował ją w rękę.

Razu jednego wracała wojewodzina późno we wieczór z ulicy Mazowieckiéj czy też Królewskiéj. Było to w grudniu. Wiatr dął przeraźliwie i sypał gęstym śniegiem, który głębokie tworzył błoto. Henryk Rzewuski zaprosił się do karety pani Nakwaskiéj — i zabrała go. Dojeżdżając do Saskiego placu, autor Listopada przemówił, że należy się, by każdy Polak i każda Polka pomodlili się przed pomnikiem, wystawionym przez cara wiernym tronowi Polakom.

— Dla czegożby nie — odrzekła wojewodzina — można się pomodlić za niewinnie lub przez omyłkę poległych, a mających teraz napis na tym pomniku: za jenerała Stasia Potockiego, który zawsze dobrym był Polakiem i człowiekiem szlachetnym, a zbałamuconym w pierwszéj chwili; za poczciwego, zacnego jenerała Siemiątkowskiego, serdecznego Polaka, za jenerała Nowickiego, prawego męża, który poległ przez pomyłkę nazwiska... A wreszcie, mój Boże, toćże jest po chrześciańsku i po katolicku westchnąć za grzeszników.

— Więc pomodlimy się, pani wojewodzino?

— Owszém!

Rzewuski kazał karecie przystanąć.

— A to na co?

— Wysiądziemy przecie.

— A, dobrze. Wysiadaj pan.

Pan Henryk wysiadł. Wojewodzina drzwiczki zatrzasnęła i szarpnęła ta taśmę, dając rozkaz stangretowi. Kareta potoczyła się szybko. Autor Mięszanin pozostał się w błocie i w śnieżnéj zamieci.

Aleksander Tyszyński napisał w Albumie wojewodziny:

„Piękna płeć jest to ludzkość w objawieniu swéj wyższości. Piękna płeć to nie ludzkość, to środek jéj przechowania. Jest to jedna z form fałszu w rozwijaniu ziemskiém i zaprzeczenie pierwotnie objawionemu na świat twierdzeniu.

Te i tym podobne zdania, to zdania prawd oderwanych, z mędrcem by zaprzeczyć, dość je wynieść ze sfery ich oderwania i zapisać na kartach księgi znakomitéj autorki.“

Karolina z Potockich Nakwaska, autorka: Dworu wiejskiego — zostająca z mężem, p. Henrykiem, na emigracji, — była jéj synową. Córka téjże w młodym zmarła wieku, była żoną Cypryana Walewskiego — literata i właściciela pięknego i bogatego księgozbioru — który także już umarł. Umysłu bystrego i zdolna — przypisywano młodéj jeszcze panience, wiersz: Co ja lubię! — zamieszczony w Kronice Bibljoteki warszawskiéj, r. 1843, jako odpowiedź na: Co ja lubię pani Anieli Dembowskiéj, które w swoim czasie dużo wrzawy narobiło w Warszawie.

Druga wnuczka ś. p. wojewodziny jest żoną Edwarda Rastawieckiego, pracowitego badacza rzeczy ojczystych. Wydał „Mappografją dawnéj Polski“, Warszawa 1846, — „Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce zamieszkałych, lub czasowo przebywających“ trzy tomy, Warszawa 1850, — i wraz z Aleksandrem Przeździeckim jest wydawcą dzieła: „Wzory sztuki średniowiecznéj.“ Jako współredaktor „Bibljoteki Warszawskiéj“ zamieścił w piśmie tém wiele rozpraw treści archeologicznéj.

Kronika tygodniowa.

Na czele dzisiejszéj kroniki zapisujemy imię zgasłego pracownika na niwie literatury narodowéj, poety ś. p. Tadeusza Komara. Nie wiem czyście zasłyszeli cośkolwiek o tym potężnym talencie... czy doszło was nazwisko autora „Dum i pieśni?“ Nie. Ha, mniejsza o to!... Zwykła to u nas kolei talentu, żyć w zapoznaniu — zgasnąć w niepamięci. Lecz do tych, którym Bóg na ciernistą drogę życia rzucił choć jeden promyk słoneczny, należy rozświecać drogę mniéj szczęśliwych braci, iść za śladami krwi którą broczyły ich stopy a u celu ich drogi zatknąć krzyż męczeński, — niby drogoskaz dla następnych pokoleń.

W krótkości przebiegniemy życie zmarłego.

Tadeusz Komar urodził się w Płockiém w 1836 r.; po ukończeniu szkół w tameczném gimnazjum, udał się na uniwersytet do Kijowa, gdzie pozostawał aż do roku 1862go. Już w owym czasie dał poznać się towarzyszom z niepoślednićj twórczości poetycznéj... Pieśni jego, przeważnie patrjotycznéj treści, przebiegały z rąk do rąk; czytane z zapałem i rozpisywane na setki egzemplarzy, docierały aż do ostatnich krańców Podola i Ukrainy. Wpływ ich był bardzo potężny... Od chwili, w któréj autor napisał „Słowo do sióstr Polek“ — stał się ulubieńcem młodzieży akademickiéj... W roku 1863 wszedł do powstania jako prosty szeregowiec i walczył aż do upadku jego w 1864 roku... Następnie — tułacz wśród obcych, po długich i ciężkich przejściach za granicą, powrócił do kraju — i osiadł we Lwowie. Chwytał się rozmaitych literackich zajęć, które mu wszakże żadnego nie przynosiły dochodu... Talent jego i smutne położenie, żal mówić, wyzyskiwano nielitościwie... Z owych chwil jego pobytu na bruku lwowskim, moglibyśmy wymienić redakcję pewnego politycznego organu, która za dwa miesiące mozolnéj pracy biebnego poety, nie wstydziła się ofiarować mu trzy guldeny... Insi nie lepiéj go honorowali... Zniechęcony, złamany, postanowił udać się do Turcji i w drodze, gdzieś na Bukowinie zakończył życie pełne rozczarowań, na początkach bieżącego roku.

Każdy z ludzi ma na świecie
Szczęścia choćby kroplę marną,
Jak makowe liche ziarno....
Każdy chwilki ma motyle,
I uroku szczęsne chwile!
Dla mnie.... nic więc nie zostanie?
To mnie po coś stworzył Panie?
Lecz po coż się skarżyć? Skarga
To modlitwa słabéj duszy.
Niech ją niewiast miota warga...
A rzecz męzka drwić z katuszy.
A więc przez step życia, śmiało
Pójdę prosto i przebojem!
Wstępnym się dopytać bojem,
Czy mi szczęścia co zostało!....

Skarży się poeta w jednéj pieśni swego zbiorku poezji wydanego w Bendlikonie 1865 r. I jest to bodaj jedyna jego skarga... Jak mówił — tak postępował... Chciał chwilkę szczęścia „wstępnym zdobyć bojem“ i padł w zaciętéj walce z nędzą...

Pozostałe po nim pieśni, należałoby zebrać w jedną całość i wydać osobno... a uwiłaby się z nich piękna równianka.. Tygodnik lwowski, Strzecha, Dumy i pieśni, wreszcie pozostałe rękopisa, z których jeden pod tyt.: „Mądrość słowiańska“ znajduje się w posiadaniu Redakcji „Tyg. Wielkop.“ — dostarczyłyby obfitych materjałów.. Nim jednak powitamy ten pogrobowy kwiat poezji, – dziś wieniec nieśmiertelników niech nam wolno będzie złożyć na grób poety....

* * *

Zanim kto pomyśli o zmarłym, dobrze że znaleźli się tacy, co pamiętali o żywym... Mamy tu na myśli serdecznego a tak ukochanego u nas pisarza Józefa Ig. Kraszewskiego, — którego prace „przejrzane, poprawione i uporządkowane przez autora“ wychodzić wkrótce zaczną staraniem i nakładem wydawnictwa „Biblioteki powieści i romansów we Lwowie“... Szczęść Boże! — Ze swéj strony dodamy, że równie taniego, jak zapowiedziane wydania, nie mieliśmy dotąd w literaturze; — życzyć mu téż należy, tak ze względu na treść znakomitą, jak i na przystępną cenę, jak najszerszego koła zwolenników.

* * *

Donosiliśmy już czytelnikom o zamierzonym przekładzie „Wieczornych pieśni“ Halka przez p. Bełzę. Dziś, możemy podzielić się wiadomością, że nieposledniéj poetycznéj wartości utwór tego wieszcza pod tytułem: „Dziewczę z Tatr“ wyjdzie niebawem w tłomaczeniu na język polski p. Wł. Ordona, na co już utalentowany nasz poeta otrzymał uprzejme zezwolenie autora.

* * *

W poprzedniéj kronice wspomnieliśmy o nowych powieściach Wołodego Skiby, mających się wkrótce ukazać. Jest ich trzy. Jedna pod nap.: „Intrygant“ jest obrazkiem na tle warszawskiego życia osnutym. Główną postacią jest tu młody człowiek, z charakterem zręcznym i przebiegłym, który postanowiwszy zrobić karjerę przez bogate ożenienie się, usuwa współzawodników za pomocą intryg i podstępów, co powodzi mu się do pewnego czasu, aż w końcu zawikłany w sieciach które sam pozastawiał, zmuszony jest żenić się z najbrzydszą i najmniéj posażną ze wszystkich pomiędzy którémi szukał najładowniejszego worka. Powieść od początku do końca humorystyczna, postaci wprowadzonych bardzo wiele, zajęcie utrzymane w całym ciągu. — Drugi utwór pod nap.: „Znaczone pieniądze“ jest kartką z kroniki kryminalnéj, albowiem w grę intrygi wchodzi podejrzenie bohatera o zbrodnię. I na tém tle bez szkody, owszém z korzyścią dla powieści, humor p. Sabowskiego potrafił gdzie było można wycisnąć swoje piętno. Są tu ustępy tak wesołe, że mogłyby nawet hypokondryka pobudzić do śmiechu.

O trzeciéj z nowych powieści Skiby pod nap.: Samobójca, nic nie powiemy więcéj, tylko że rzecz dzieje się w Karpatach i że treść jest bardzo dramatyczną, tak że autor na téj saméj kanwie osnuł dramat, który niezadługo, bo już na Zielone Świątki na naszéj scenie ujrzymy. W interesie widzów tego dramatu, zachowujemy dyskrecję i ani słówkiem nie zdradzimy wątka intrygi.

* * *

Mamy przed sobą dwie śliczne pieśni Michała Hertza do słów Heinego, z tekstem polskim i niemieckim, które w tych dniach wyszły nakładem J. K. Żupańskiego. Imię p. Hertza dostatecznie jest znane publiczności naszéj, abyśmy o młodym tym i pełnym talentu kompozytorze coś nowego powiedzieć umieli. Nowością chyba będzie, zapowiedziany jego śpiewnik 25 pieśni, do słów naszych i obcych poetów, o którym w swoim czasie nie omieszkamy szerzéj się rozpisać, a który obecnie polecamy pamięci czytelniczek.

* * *

Piszą nam z Torunia:

„Na dniu dzisiejszym (23 b. m.) odbył się obchód stuletniéj rocznicy urodzin Bogumiła Lindego, skromnie i poważnie jak na tak uroczysty akt przystało. Rozpoczęto chórem „Boga-Rodzica“ zgodnie i harmonijnie odśpiewanym, poczém Dr. Rakowicz wygłosił prześliczną mowę, w któréj podniósł zasługi i opisał żywot zmarłego, a tyle zasłużonego męża. Sala stosownie do obchodu była przystrojona. Na katedrze stał biust Lindego uwieńczony gałązką wawrzynu — i pierwsze wydanie jego monumentalnego słownika... Zgromadzeni ze czcią wpatrywali się w szlachetne rysy ich współziomka, — i przerzucali kartki jego olbrzymiego dzieła, które jakby tajemniczą przestrogą zdawały się szeptać: „szanujcie mowę rodzinną — strzeżcie ją od skalania!“ Dziwne są zrządzenia Boże... Mąż, który najusilniéj pracował nad językiem polskim, nad jego czystością, który tłomaczył jego tajemnice, — urodził się tam właśnie, gdzie dziś ten język najwięcéj jest poniewierany i zagrożony upadkiem. Czyż to nie jest dla nas ową tajemniczą przestrogą, wiejącą z kart jego słownika, o któréj wspomniałem?...“

* * *

W chwili — kiedy w Toruniu odbywała się uroczystość urodzin Lindego, — u nas, obchodziliśmy wspólną ucztą połączenie dwóch Towarzystw Przemysłowych, czyli, jak słusznie zauważył p. A. Krzyżanowski, prezes Towarzystwa starych Przemysłowców, połączenie nabranego w długiéj pracy doświadczenia z młodzieńczym zapałem. Jest to zaprawdę najszczęśliwsza kombinacja, z całego więc serca dołączamy nasz toast kronikarski, do toastów wzniesionych na uczcie z tego powodu odbytéj, życząc obu gieneracjom Przemysłowców, aby z nich wyrósł jak najprędzéj samoistny i na trwałych podstawach oparty przemysł Wielkopolski.

B.

Korespondencja z Krakowa.

Kraków, 23 kwietnia.

O ruchu literackim i artystycznym w Krakowie wyjątkowo tylko da się coś powiedzieć, a w obecnéj chwili zgoła nic. — Jeden tylko teatr od pewnego czasu rozpoczął świetne bardzo życie, tak iż najzagorzalsi przeciwnicy dyrekcji w obec świeżo rozwiniętéj energji, zamilknąć musieli.

Niedawno dawałem Wam sprawę z przedstawień dwóch na konkursie uwieńczonych komedji, jakkolwiek trzecia z kolei polecona dyrekcji sztuka, dla nieporozumień między autorem a hr. Skorupką przedstawioną być niemogła, to w zamian dano nam w ostatnich dniach, dwa zupełnie nowe, oryginalne polskie utwory, o których ze wszech miar obszerniéj wspomnieć warto.

Pierwszy z nich, komedja w 3 aktach hr. Jana Aleksandra Fredry (syna) pod tyt.: „Mentor“, zasługuje pod każdym względem na uznanie. Oto jéj treść w krótkości:

Władysław Morzanowski były oficer ułanów, młody trzpiot, uosobiony duch wesołości, znajduje się w nader krytycznem położeniu. Przegrał resztę grosza, zastawił wszystkie cenne przybory toalety don Juana i narobił długów bez miary. Pozostają mu tylko: hulaszcze zachcianki i trzy bardzo bogate ciotki, u których na wsi przebywa. Nieocenione ciocie chcą go ratować, ale pod warunkiem, żeby się ożenił z piękną Jadwigą, córką pułkownika Poryckiego a przyjaciela jego ojca i w tym celu udał się natychmiast na Wołyń. Warunek to wcale znośny, lecz pan Władysław kocha swoją wolność i za nic żenić się nie chce. Ultimatum ciotek stanowcze, z drugiéj zaś strony kredyt u żydów wyczerpany. Cóż robić? Nad rozwiązaniem tego to be or not to be biedzi się właśnie biedny Władysław, kiedy krewny jego Wacław Rówczyński robi mu nieśmiałe wyznanie, że on u wód poznał pannę Jadwigę i zakochał się w niéj na zabój. Wyznanie to obudza w Morzanowskim śmiały plan który krewnemu swemu natychmiast przedkłada.

Skromny jak dziewica i nieśmiały, li tylko naukom oddany Rówczyński wzbrania się początkowo, na zapewnienie jednak Władysława, że ten będzie za wszystko jako jego „mentor“ odpowiedzialny, zgadza się na przyjęcie planu, według którego mają razem jechać na Wołyń i tam zamienić się na role tak, aby Wacław udawał Władysława, ten zaś Wacława. Przyciągnięta na stronę młodzieńców ciotka Jadwigi, sentymentalna pani Zamurło, przyrzeka przygotować stósownie kochającą Wacława Jadwigę i wszyscy ku większemu zadowoleniu niewiedzących o ukutym spisku ciotek, wyjeżdżają do pułkownika Poryckiego na Wołyń.

Tam odbywa się akt 3 i 4 tak zawiązanéj akcji. Trudność utrzymania się w prost przeciwnym sobie charakterze wyradza tysiączne konflikta i humoreski. Trzpiot Władysław udający uczonego flegmatyka a uczony flegmatyk udający hulaszczego rotmistrza ułanów, zetknięcia się pierwszego z piękną wdówką Wandą Łoniewską do której czuje nieprzezwyciężony pociąg a wreszcie miłość, drugiego zaś z rubaszną oprysklìwą wiejską szlachtą, uosobioną w pp. Wrzazdze i Bałagólskim, wyradzają sytuacje tak komiczne i tak pełne humoru efekta, że widzowie zachodzą od serdecznego śmiechu. — Sprytny pułkownik domyśla się w końcu wszystkiego, nie biorąc jednak intrygi za złe, mści się, stawiając spiskowych tak zbiorowo jak pojedyńczo w niesłychanym kłopocie, ztąd nowe sceny pełne werwy i życia przez cały ciąg aktu czwartego. Zforsowani intryganci chcą się już przyznać, lecz pułkownik zręcznemi manewrami umie uniknąć wyznań, natomiast sprowadza z Krakowa wszystkie trzy ciotki Władysława i teraz dopiero pośród przestraszonych wspólników rzecz całą wyjaśnia. Z córką żeni Wacława, wbrew powziętéj myśli ciotek wydania jéj za Władysława, którego żeni z Wandą.

Taki jest szkielet całości w pobieżnym lecz wiernym zarysie, pojedyńcze sceny mianowicie w 2 ostatnich aktach kipią humorem, na podstawie nie opowiadań lecz żywéj akcji, któréj obfitość i stósowna miara jest główną zaletą komedji.

Akt 1 jest najsłabszy, grzechem jego jest zbyt długa i monotonna dykcja a co gorsza powtarzanie trzechkrotne powziętego planu. Przeniesienie rozmowy Władysława z p. Zamurło za kulisy byłoby korzystną dla aktu 1go amputacją. Rozmowa Wacława z Władysławem zyskałaby bardzo na skróceniu a dragonady pani majorowéj Rówczyńskiéj powinnyby być zupełnie wykreślone.

Gra naszych artystów była wcale staranną a miejscami nawet nader udatną. Pan Benda (Władysław) panie Hoffmann (Wanda) i Kwiecińska (Agata) zasługują na szczególne wyróżnienie.

Drugi ze wspomnianych powyżéj utworów: obrazek sceniczny w 2 aktach pana Józefa Narzymskiego pod tyt.: „Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach“, skreślony widocznie na prędce według pamiętnika, posiada więcéj może literacką niż sceniczną wartość, nie będzie atoli nigdy należał do arcydzieł utalentowanego autora „Epidemii“ i „Poświęceń.“ — Rzecz cała obrazuje przygody prezydenta Lichockiego i przedstawia mieszczaństwo krakowskie w pamiętnym 1794 r., w epoce Kościuszki. Pomimo wątłéj budowy scenicznéj, któréj usterek tu nawet notować nie będziemy, przyznać należy że utwór p. Narzymskiego posiada bardzo wiele humoru i jeżeli przez publiczność tutejszą dosyć chłodno przyjętym został, stało się to więcéj dla tego, że posądzano autora, iż chciał dotknąć ze strony najdraźliwszéj mieszkańców naszego miasta, wprowadził bowiem na scenę kilka postaci nie dość chętnych do składania ofiar na ołtarzu ojczyzny. Gdyby nie niechęć jaka tym sposobem powstała, spostrzeżonoby niezawodnie, że i „pan prezydent“ nosi cechy wyższego talentu jakim każda z prac p. Narzymskiego się odznacza.

O'Le.

Skrzynka do listów.

P. Wł. K... w Gośc..: Przesłaliśmy żądany egzemplarz.

P. A... Ma... w Toruniu: Urzędowi pocztowemu, w którym złożyłeś Pan przedpłatę, bynajmniéj nie przysługuje prawo „grzecznego odprawiania abonentów z nadmienieniem, że ten lub ów numer nie nadszedł;“ numera bowiem, dostarczane tutejszéj poczcie zawsze w piątek, dochodzić abonentów na czas muszą, a jeżeli nie dochodzą, urząd pocztowy za zwłokę odpowiada. Pomimo to przesyłamy Panu numer rzeczony.

P. Stan... Ak... w Ko...: Stało się zadosyć Jego życzeniu.

P. Pl... w Koś : Przesyłamy, z prośbą, byś Pan raczył zawiadomić odnośną pocztę o miejscu swego przesiedlenia się.

P. E. Leistina w Nowym Sączu: Zgądzamy się na propozycją i oczekujemy zamówień.

X... W... K... w Sz...: Wysłaliśmy żądany numer naszego Tygodnika.

Sprostowanie.

W przeszłym numerze „Tygodnika“ w artykule Dr. Libelta na str. 206 w szpalcie 1 wkradły się dwa błędy drukarskie; zamiast Bakko Werulowski czytaj Bakko Werulamski a w miejsce Loerke winno być Locke.